Dodatek do „Miesięcznika“ Nr. 9. i 10. z r. 1898.

DLA MŁODSZYCH.

Opowiadania przyrodnicze

przez

Eleonorę Lazarus.

(Ciąg dalszy).

Na liściu kapusty.

Ciepłe, lipcowe promienie słońca ozłociły liść kapusty, na którym spora gromadka kapustnika rozłożyła się obozem. Tu pokryty był liść żółtemi jajeczkami, co niby jagły połyskiwały, tam znowu pełzały omszone gąsieniczki, żółte w czarne centki mniejsze lub większe, aż do całkiem dużych, które się wkrótce w motylka przemienią.

Bielinek kapustnik — jak wiadomo — pojawia się po raz pierwszy w roku w kwietniu, właściwym jednak miesiącem jego jest lipiec, w którym najliczniej występuje. Czas to najcięższy dla liści kapusty, kalarepy itd., bo gąsieniczki z jajek wylęgłe obryzgają je niemiłosiernie. Bywało, gąsieniczka tak obgryzie liść kapusty, że tylko strzępek z niego pozostanie, jak szmatka podarta w kawałki. A nóg ma bez liku. Trzy pary rogowych na piersi, 4 pary mięsistych na brzuchu, a na samym końcu ciała jeszcze jedną parę, tak zwane posuwki, służące im do posuwania się wprzód.

Nie myślcie, że gąsienica chodzi zawsze w jednej sukience o nie, zrzuca ona kilkakrotnie swoją skorupkę, skoro tylko z niej wyrośnie, a gdy jest już dosyć dużą — opuszcza liście kapusty lub kalarepy i wędruje na poblizki płot, lub parkan, drzewo, altanę itd. Wtedy wysnuwa cieniutką niteczkę z gruczołów, umieszczonych na wardze dolnej, które zowiemy kądzielnikami, i przymocowuje się nią do obranego przedmiotu. Co uczyniwszy, zrzuca po raz ostatni gąsieniczą skórkę i przemienia się w poczwarkę.

A poczwarka — dziwne to stworzątko, nie je i nie pije, ani nóg niema, tylko śpi zawieszona w dół głową. Barwy jest zielonawo-żółtawej w ładne czarne centki.

Dużo poczwarek śpi tak przez całą zimę, niektóre z nich zamarzają wprawdzie, inne budzą się jednak na wiosnę, lecz o dziwo! skórka znów im wtedy odpada, a z pod niej wychodzi śliczny motyl, o trzech parach nóżek, i ładnych, białych skrzydełkach, na których widnieją czarne plamy.

Motyl kwietniowy niedługo jednak żyje. Składa też żółte jajeczka, z których wylęgają się gąsieniczki, te zamieniają się w poczwarki — w motyla lipcowego.

A w lipcu roi się od bielinków! Sam motyl nie obryzguje wprawdzie liści i tylko jajka na nich składa, ale zato go znają dobrze kwiaty, bo na nich często siada i wysysa ich słodycz za pomocą długiej rureczki, zwanej ssawką, która wysuwa mu się z pyszczka, zwinięta w trąbkę.

Bielinek kapustnik lata przez dzień cały od kwiatka do kwiatka, karmiąc się ich miodem, a nad drobną główką jego sterczą mu dwa rożki, składające się z wielu członków i duże oczka, z licznych drobnych oczek złożone, ciekawie spoglądają wokoło.

Kapustnik ujrzał zieloną siatkę na długim drążku, skierowaną wprost na niego — umknął więc w przeciwną stronę. Nie głupi on lecieć w niebezpieczeństwo, życie motyla i tak krótkie, nie chce umrzeć jeszcze, wszak tak mało użył świata, a musi złożyć jeszcze przed śmiercią żółte jajeczka na spodniej stronie liścia wawrzynego i umieścić je pojedyńczo, albo też kupkami.

Przygody dwóch krewniaczek.

Chrum, chrum! — zajadała wiewiórka smaczny orzeszek, siedząc w rodzinnem gniazdeczku, wysłanem w dziupli, to jest dziurze w pniu drzewa.

Ślicznąż była ta wiewióreczka! Ciało jej drobne, było z wierzchu rudawym włosem pokryte, a ze spodu białawe. Z dumą podniosła duży, puszysty, rudawy ogonek, który był większym nawet od jej ciałka! Główka wiewiórki była drobna, o dużych, ruchliwych, czarnych oczkach i długich uszach. Wiewiórka ma cztery łapki rudego koloru, zakończone ostremi pazurkami. Łapki przednie są nieco krótsze od tylnych.

— Unikaj niebezpieczeństw kochane dziecko, — przestrzegała ją matka. Strzeż się nieprzyjaciół, którzy czyhają ustawicznie na naszą zgubę.

— Dobrze! dobrze! — mruknęła wiewiórka i znów zabrała się do orzeszka.

— Dzień dobry! — dało się słyszeć ze strony wejścia od dziupli.

— Ah! to ty popieliczko! Dobrze, żeś przyszła, pójdziemy razem na przechadzkę — zawołała młoda wiewiórka.

Po chwili obie przyjaciółki biegały po ciemnym lesie.

Popieliczka była bardzo do wiewiórki podobną. Znacznie jednak od niej mniejsza, sierść miała szarą, a szary jej ogonek był mniej puszystym i pięknym od ogonka wiewiórki.

— Wyglądasz bardzo znudzoną — zauważyła popielica.

— O tak! okropniem się nudziła. Mama uczyła mnie, co mam robić, a czego unikać, tak, jak gdybym tego sama nie wiedziała. Zapowiedziała mi wreszcie, że w jesieni pomagać jej będę musiała w zbieraniu orzeszków i innych zapasów żywności na zimę. Dopieroż mi przyjemność!

— Ja, chwała Bogu, tego robić nie potrzebuję — odrzekła popielica.

— Czemu? — spytała jej ciekawie przyjaciółka.

— Bo my, popielice — jak się to wczoraj dowiedziałem — śpiemy przez całą zimę.

— My, wiewiórki, śpiemy w zimie tylko przez większą część dnia. Czy nie będzie ci zimno, spać tak całą zimę?

— Wcale nie! zatkamy sobie wejście do naszego mieszkania, a oprócz tego nakryję się moim ogonkiem.

— Ja to też zawsze przy spaniu robić zwykłam — zawołała wiewiórka.

Przez chwilę szły obie przyjaciółki w milczeniu, patrząc przed siebie i rozglądając się ciekawie po lesie.

— Patrz! patrz! jakie to śliczne śliwki są na tem drzewie — zawołała wiewiórka i pobiegła wraz z towarzyszką pod śliwę.

— Popatrz wiewióreczko! Wewnątrz śliwki znalazłam tę tu pestkę. Skosztuję ją, będzie pewnie tak dobra jak orzeszek.

— Nie rób tego — krzyknęła wiewiórka. — Wczoraj mówiła mi mama, że w pestce śliwki, wiśni, czereśni i tym podobnych owoców, znajduje się wprawdzie ziarenko w smaku podobne do orzeszka, lecz jest ono bardzo trujące.

— I ty temu wierzysz? Ha! ha! ha! — zaśmiała się popieliczka.

Już sięgała po drugą i trzecią pestkę i zapytała wiewiórki.

— Więc nie chcesz skosztować tego przysmaczku?

Nim to jednak zdołała dopowiedzieć, biedna popieliczka skrzywiła się niemiłosiernie. Prawdę powiedziała mama wiewiórki: pestka śliwki jest wielką trucizną dla tak małych zwierzątek, a w wielkiej ilości nawet i dla ludzi.

Popieliczka rzucała się na wszystkie strony, jęczała, wiła się, ale napróżno... po chwili skonała!...

— Pif! paf! puf! — dało się słyszeć.

W pamięci wiewiórki odświeżyły się w tej chwili przestrogi matki i przypomniała sobie co jej mówiono o okrótnych strzelcach, którzy chodzą po lesie, by zabijać niewinne zwierzątka i uciekła co tchu przez gąszcze.

Biegła tak długo, długo biedna wiewióreczka, wtem usłyszała trzask nagły, przystanęła i zobaczyła się zamkniętą w wielkiej pułapce, którą Kazio i Mania nastawili.

— Nie bój się, nic ci złego nie zrobimy — uspokajała Mania przelękne zwierzątko.

-- Będziesz miała śliczną klateczkę miękko wyścieloną — rzekł Kazio.

— I ciasteczka i cukierki — dorzuciła Mania.

Ale wiewiórka zdawała się być nieuspokojoną temi zapewnieniami, biegała po klatce, jakby szukając wyjścia.

Dzieci dotrzymywały słowa; nie odstępowały prawie klatki. Nalewały co chwila wiewiórce świeżej wody, dawały jej jeść smaczne ciasteczka i bułkę, maczaną w mleku, nie zapomniały jednak i o orzeszkach, wiedząc, iż ząbki wiewiórki prędko rosną więc musi je ścierać o twarde pokarmy, inaczej bowiem tak by jej wyrosły, że pyszczka otworzyć by oie mogła.

Złocona klatka stała na oknie, biedne zwierzątko miało wszystko, czego mu było trzeba, ale jednak było smutne.

Smutną była mała wiewióreczka, mimo, że jej klatka ozdobioną była pięknie zielonemi gałązkami, mimo, że miała orzeszków do syta. O! bo dzieci kochane! wiewióreczka mimo pieszczot Mani i Kazia, mimo pięknych cacek, które ją otaczały tęskniła do swobody, do wolności!

Dzieci zastanawiały się często nad przyczyną smutku wiewiórki.

— Może jej żal, że tak pięknie na dworze, że inne wiewiórki uganiają się wesoło po drzewach, a ona musi siedzieć w klatce? — zauważyła Mania.

— Mnie się zdaje, że masz słuszność — odpowiedział Kazio — wypuśćmy ją!

— Tak wypuśćmy! — wołała Mania.

I dzieci otworzyły drzwiczki od klatki.

— Wyjdź wiewióreczko, wróć do twojej mamy, do twoich przyjaciółek! — mówiła Mania, głaszcząc piękne zwierzątko.

Wiewiórka spojrzała na dzieci i zobaczyła małe łezki w oczach Kazia i Mani.

— Dziękuję wam drogie, kochane dzieci, nigdy, nigdy nie zapomnę o was — pomyślała wiewiórka, a wywróciwszy parę pociesznych koziołków, jednym susem znalazła na drzewie, a stamtąd co rychlej powędrowała do swego rodzinnego lasu.

Duch zamczyska.

Duża głowa a w niej wielkie oczy wprzód zwrócone, otoczone rozstrzępionemi piórkami, które zakrywają też część krótkiego a silnego dzioba, pierze odstające i mięciutkie, — ot zwyczajnie s o w a p ł o m y k ó w k a, nie różniąca się niczem od swych siostrzyczek. Tak jak i one, miała koniec dzióba haczykowato zakrzywiony i nogi porosłe puchem, grzbiet ciała popielaty w liczne ciemne prążki i białe płamki, a boki głowy i spód ciała gliniasto-rudawe o śniadych i białych centkach.

Tak jak i inne wyglądała sowy i tak samo żyła jak i one, lecz zamiast na strychu, po kościołach lub na wieży, mieszkała sobie w starym opuszczonym zamczysku. A zwyczaj miała dość dziwny, (jak zresztą wszystkie sowy), że w dzień spała sobie smacznie i dopiero w nocy na żer wylatywała. Powód tego dziwactwa łatwym jest do zrozumienia, sowa widzi bowiem bardzo źle za dnia, lecz wyborny ma wzrok w zmierzchu wieczornym, lub w nocy przy bladem świetle księżyca.

W cichą noc miesięczną widzieli ją często ludzie, jak wylatywała z murów starego zamczyska, a zobaczywszy w dal, jaką mysz śpiącą, lub nornika, przylatywała cicho, cichutko i pożerała drzemiące zwierzę. Szkodniki te drżały przed nią ze strachu, żaden z nich bowiem nie był pewny jutra, a nuż napadnie go sowa tej nocy? Lata cicho, że trudno ją usłyszeć, a gdzież by zresztą uciekać można po ciemku?

Norniki i myszy nie lubiały jej, lecz zato błogosławił sowę ludzie, że tępi te szkodliwe zwierzęta. Mimo to, czy uwie-

rzycie, byli i tacy, którzy bali się jej okrutnie, a gdy usłyszeli tylko donośny krzyk sowi z wież zamczyska, kryli się w najmniejszy kącik mieszkania!

Widzę oczka wasze zaciekawione, pytające ze zdziwieniem czemu?

Czemu? Otóż wśród ludzi byli tacy — wstyd mówić o tem — co myśleli, że to duch jaki pokutujący tłucze się w nocy po niezamieszkałym zamczysku. Niemądre to, wszak prawda? bo duchów niema przecież, a pożyteczna sowa nie zasłużyła sobie na to wcale, by się jej obawiano.

Pewnego razu latała ona po nocy, szukając pokarmu.

— Hej, hej! pani sowo! — wołał za nią nietoperz, który też lubi nocne wędrówki. Pięknych się o tobie rzeczy dowiedziałem!

— Cóż takiego? — zapytała się ciekawie sowa.

— Wyleciałem dziś wcześniej niż zwykle i spotkałem się ze sroką. Zdziwiłem się niemało, widząc, że nie udała się jeszcze na spoczynek, ale ona, wyobraź sobie, — umyślnie wstrzymała się była od snu, by zobaczyć się ze mną i zapytać, czy to prawda, że ty świece zjadasz w kościele, a krewniak twój pódźka ludziom śmierć zwiastuje?

— Czy wszystkie te brednie mówiła ci sroka?

— A tak, słyszała, jak o tem dwaj chłopcy rozmawiali zrana, a że ciekawska jej natura i do wszystkiego wtrącać się lubi, czekała więc na mnie, by dowiedzieć się prawdy.

— Ha! ha! ha! zaśmiała się sowa, słuchając tych niemądrych baśni.

Chomik i pasikonik.

Dzień był piękny, słoneczny. Na polu, na którem w pewnych odstępach stały stożkowato poukładane snopy zboża, krzątał się kårzętny chomik około zbierania zapasów na zimę.

Chomik był barwy płowej, po bokach ciała jego bieliły się trzy wielkie plamy, część głowy i boki były rudawe, łapki białe a spód ciała czarny.

Gdy kupka ziarnek, którą układał, była już dość duża brał z niej ziarnka w pyszczek, wsypywał do dwóch schowków znajdujących się pod policzkami i przenosił je do swej nory.

Podczas gdy chomik tak pilnie układał zapasy żywności na zimę, pasikonik, mały, zielony owadek (zwany także konikiem polnym), mający tylne nogi długie, silne i wyborne do skakania, ćwierkał donośnie, usiadłszy na ździebełku trawy.

— Zaprzestań już tej swojej muzyki -- krzyknął rozgniewany chomik — nie ma w niej nic pięknego. Wiecznie śpiewasz jedno i to samo! jeśli nie umiesz nic nowego, milcz lepiej

— Ja nie śpiewam wcale, tylko ćwierkam, a to co innego — odrzekł pasikonik, postanowiwszy dać nauczkę niegrzecznemu chomikowi. Dźwięk, który wydaję, choć zawsze ten sam, przynajmniej nie jest pospolitym, nie łatwym do naśladowania, nie lada kto ćwierkać potrafi, bo na to trzeba, oto patrz, tego:

To mówtąc, podniósł pasikonik prawe skrzydełko, a raczej prawą, do skrzydełka podobną pokrywę, pod którą znajduje się właściwe skrzydełko błoniaste, przejrzyste i posiatkowane.

Bo trzeba Wam wiedzieć, mili czytelnicy, że pasikonik ma również jak chrząszcz majowy, nad parą delikatnych skrzydełek, którymi lata, dwie twarde pokrywy służące do ich ochrony.

Nasz pasikonik podniósł tedy pokrywę, a zbliżywszy się do chomika, zapytał:

— Czy widzisz przy nasadzie mojej prawej pokrywy ten błoniasty pęcherzyk? Jest to mój przyrząd do ćwierkania. Ćwierkam pocierając lewą pokrywę o pęcherzyk znajdujący się pod prawą.

Chomik słuchał zdumiony i wpatrywał się uważnie w cudowny pęcherzyk. Figlarz pasikonik, widząc jego zdziwienie, podniósł wysoko prawą pokrywę i zbliżał się pomału do chomika. Gdy był już tuż, tuż przy nim, zaćwierkał głośno: „ćwirrrr!.... ćwirrrr!...“ i porwawszy najpiękniejsze ziarnka, uniósł je w podskokach do swojej siedziby.

Cena gniazdka wróbla.

Z nudoty, ze swawoli, lekkomyślności, lub nieświadomości wybierają czasem chłopacy gniazdka wróbli, nie pomni, jaką szkodę rolnikowi wyrządzają.

Każdy młody wróbel potrzebuje w przecięciu dziennie 50 gąsienic, lub much do pożywienia, karmienie trwa 30 dni; na dzień więc wypada dla jednego gniazdka 250, a za cały czas

trwania 7500 sztuk. Każda gąsienica zjada codziennie liści tyle, ile sama waży; niech tylko zje jeden kwiat, z którego byłby owoc, to w przeciągu 30 dni zniszczy 30 zawiązków owocowych, a 7500 gąsienic zniszczy 225.000 tychże. Gdybyś chłopcze nie był wybrał gniazdka wróbla miałby twój ojciec i wasi sąsiedzi o 225.000 japłek, grnszek, wiśni i t. p. więcej. Czyż nie warto zostawić wróbla w spokoju?

Roztropna para jaskółek.

W krytym przedsionku pewnego domu obrała sobie pewna para jaskółek miejsce na gniazdko. Pan domu, miłujący zwierzęta, pozwolił miłym ptaszkom na to: budowały, siedziały na jajach, wychowywały młode; rzecz naturalna, że zaśmiecały i zanieczyszczały codziennie przedsionek, trzeba było ciągle wymiatać, a to wzbudziło niechęć służby. Ale gniazdko było w opiece pana, a dzieci miały z jaskółek wielką uciechę, nie można im było nic złego zrobić. Gdy młode wyleciały, strącono gniazdo. Wkrótce jednak pojawiła się nasza para jaskółek, by gniazdko dla drugiego potomstwa zbudować. Jednak przeważyło u mieszkańców zdanie, mimo prośb dzieci, że z powodu ciągłych nieczystości trzeba w budowie jaskółkom przeszkodzić i gdy tylko kawałek zbudowały, zaraz go niszczono. Tak trwało przez ośm dni, na wyścigi budowano i niszczono.

Wtem stała się rzecz niebywała: pewnego ranka zjawia się ze świergotem wielka gromada jaskółek, wzięła się wspólnemi siłami do lepienia, pracowały bez wytchnienia tak, że w dwóch godzinach było gniazdko gotowe. By nagrodzić roztropność jaskółek, zostawiono gniazdko w spokoju.

Kącik humorystyczny.

Także miłosierdzie.

Dziewięcioletni Kuba patrzy w zimie przez okno i widzi drżące od zimna kury. Woła więc do matki: „Matulu, patrz, jak biedne kury ziębną na dworze. Czy nie byłoby lepiej, gdybyś się zmiłowała nad niemi i usmarzyła je w maśle. Byłoby im wtedy tak cieplutko“.